

Stanisław Sławiecki

# Księżniczka

Idylla.

6

Nie zauważył nawet, że panna Zosia skończywszy „Pieśń od serca“, zaczęła jakiegoś walca.

Nie, on walc nie słyszy, ale go odczuwa, on go przenika zwolna, zwolna upajając znużone nerwy, opanowując umysł... cudnie... jak cudnie pieśń walca mknie... tak słodko, rozkosznie, weselem technie.

Przypomniał się Adamowi wiersz, który napisał kilka lat temu wieczorem, wsłuchując się w muzykę walca, przez sąsiadkę z drugiego piętra granego. Nie pamiętał dokładnie.

W myśli kleił pojedyncze wiersze:

...Gdy w ciszy wieczornej, samotności chwili,  
przez murów ściany przemknie się ton  
swawolny, lekki jak zefir skrzydlaty,  
jak cichy tęskny miłości dzwon...  
Zabrzmi radośnie śmiechem pustoty...  
Nadziei, życia, rozkoszy tchem  
I w murów ciszy skryje się znów  
jak cały wietrznych amiorów huf.

I znowu lekko płyną blade wspomnienia przesłoniętych, złotych, minionych dni...

Na lśniących skrzydłach pieśń walca mknie, lekko, powiewnie, a szczęściem technie...

...Para za parą suną w dal... Szumią jedwabie, atłasy...

Jak cudna płynie woń...

Woń heliotropu, zmieszana z wonią dziewczęcego ciała... to ona... ma ją w ramionach i tuli do piersi... Jej pierś biała alabastrowa wzruszeniem drży... on to czuje... jak mu dobrze...

A walc przecudny, czaruje wciąż.

Umilkła muzyka. Przebudził się Adam. W pokoju się już świeciło; nawet i tego do tej pory nie zauważył.

Prosił go na kolację, przedłużając jego męczarnie.

Niedługo po kolacyi wstał i pożegnał towarzystwo, wymawiając się zmęczeniem i brakiem czasu.

Wracał do swego pokoju krótszą drogą, przez ogród koło pałacu. Pałac pograżony był we śnie, z jednego tylko okna padał snop błękitnego światła na ogród, oświetlając wązki jego pas. Okno było otwarte, nie przysłonięte. Przez prawie przeźroczystą firankę widać było górną część pokoju, jak na dłoni. Musiała to być sypialnia.

Adam nie miał wątpliwości, że za tą firanką jest ona. Może książkę czyta, może tonie w myślach, jasną główkę dłonią wspierasz. Nie zasłaniała okna, nie spodziewając się widocznie w tej stronie ogrodu ciekawych. Zresztą okno było dość wysoko.

Stał w cieniu, wspierasz się o drzewo i patrzył w oświetlone okno, jak nędzarz, błagający jałmużny, jak dziecię patrzy na błękitny nieba, głą mu matka o cudnych opowieściach aniołów. Jak ono wyczeka chwili, gdy mu się ukaze niebieski cherubin i wierzy w to święcie, tak on patrzył i wierzył niezachwianie, że ją tam ujrzy, jak anioła w bieli, na tem tle światła nocnej lampy.

Stał już dość długo i tracił nadzieję.

W tej chwili cień jakiś ukazał się na ścianie, rósł, potężniał, już sufitu sięgał, prawie cały sobą przysłonił. Księżniczka w oknie stanęła.

Adam mało nie krzyknął z zachwyty.

Wyglądała jak nieziemskie zjawisko. W nocnym kaftaniku, w przeróżne zdobnym koronki, z włosami rozpuszczonymi na ramiona, wyglądała prześlicznie. A bladonie światło na jej złotowłosa padając głowę, otaczało ją jakby aureolą.

Stała w oknie, chwilę stała nieruchoma, potem wyciągnęła przed siebie śnieżne ramiona, jakby jakiś złudny, ginący wśród drzew ogrodu sen pochwycić chciała i westchnęła głęboko.

Adamowi tłukło się w piersiach serce, jak orzeł w klatce. Całą siłą woli musiał się powstrzymać, aby nie krzyknąć z radości i nie skoczyć ku oknu. Coby się stało?!

Możeby się zgniewała i odeszła. Za nic! Lepiej tak patrzeć na nią zdaleka, a długo, patrzeć jak w święty obrazek.

Wychyliła się z okna, raz, drugi, jakby chciała zobaczyć, czy nikogo pod jej oknem niema i zniknęła. Za kilka chwil przygasła lampa, blado tylko oświetlając pokój.

Adam stał jeszcze długo, wpatrzony w jej okno, a gdy już tracił resztę nadziei powtórnego jej zobaczenia, skierował kroki do swego mieszkania.

Nagle, gdy już mijał pałac, przysła mu do głowy myśl.

Gdybyż jej rzucić przez okno kilka róż... Gdy wstanie, mnie tu już nie będzie... sprawi to jej przyjemność.

Poszedł do kwiatowego ogródka, zerwał kilka białych, pachnących róż i wrócił pod jej okno. W tej chwili porwała go chęć zobaczenia jej jeszcze raz, chęć niczem niepowstrzymana, wycelowania oczyma jej ócz, ust... wypieszczenia jej cudnych włosów.

Z niebywałą zręcznością wsparł się nogą na pniu rosnącego obok drzewa, ręką chwycił się okna i w pewnej chwili zawisnął w powietrzu. Ogromnym wysiłkiem złapał się gzymsu okiennego drugą ręką i był w oknie, w zębach trzymając te kilka róż. Poranił sobie ręce i twarz kołcami łądyg, ale nie dbał o to. Wspiał się na rękach i usiadł na oknie. Wpatrzył się w pokój...

Spała, dziewczęcą główką tonąc w koronkach. Bieluchna ręka zwiisała z łóżka, druga ginęła pod atlasową, błękitnego koloru koidrą...

Oddychała równo, w coraz głębszy popadając sen. Na ustach jej uśmiech się rozgościł i trwał.

Adam był wzruszony tym widokiem; wydawał mu się snem.

Spij... spij... aniele mój... niech ci się szczęście śni... szeptał.

Poobrywał łądygi róż z kołców i rzucił zręcznie na łóżko. Upadły jej na poduszkę, dookoła śpiącej układając się głowy.

Bądźcie wy postami mymi... świadkami smutnych, a rozkosznych chwil... Snij... śnij... aniele...

Wczesnym rankiem ten sam wolant, który Adama przywiózł, uwoził go ze Zhyłitowa.

## Urywek z pamiętnika.

### CZĘŚĆ II.

30 sierpnia.

Jestem z powrotem w Krakowie. Wynajęłam sobie miły pokój, okno wychodzi na ogrody. Czuję się naogół dobrze, chociaż od pewnego czasu mięsam chwile dziwnego osłabienia. Przytem kaszlę coraz częściej i to mnie niepokoi. Może to przejdzie. Niby mi tutaj dobrze, w tym starym Krakowie, a jednak czegoś mi brak — odczuwam straszną pustkę. Smutno mi.

Swoją drogą nic dziwnego — ze znajomych prawie nikogo jeszcze nie widziałem, nudzi mi się, więc zrzedzę. Dziś popołudniu wybrałam się do Rzepiec i przekonałam się, że tak czytelnia, chór, jak i sklepik funkcjonują znakomicie. Chłopi witali mię serdecznie. mocno ściskając mi dłoń. Cieszyli się, że już wróciłam i prosili o pomoc w załatwieniu ostatnich czynności około urządzenia składnicy towarowej. Chętnie się zgodziłam, choć nie wiem czemu, ale mam przekonanie, że już niedługo mego pobytu w Krakowie.

Może wyjadę gdzie za Kraków na jaką posadę.

31 sierpnia.

Dostałam kartkę od Zygmunta — podpisał się na niej Lili. Są w Kołobrzegu. Dziwna rzecz, że po otrzymaniu tej kartki uczułam tęsknotę za morzem Północnem. Rzecz inna, że nad morzem dotąd nie byłam, a warto byłoby zobaczyć.

Jestem jakiś podniecony, nie mogę usiedzieć dziesięciu minut na jednym miejscu. Wbrew zasadom moim, dziś całe pół dnia nic nie robiłam, błakając się po mieście. Deszcz pada, dziwnie przygnębiająco na mnie działając.

Poszedłam do kawiarni.

Przerzucając dzienniki znalazłam korespondencję z Kołobrzegu. Ciepło i słońce świeci, jakby nie na północy!

Zaczyna mię to, nie wiem dlaczego, cieszyć.

Autor korespondencji wyrzuca zarządowi Kołobrzegu hakaty — nawołuje do bojkotu.

Godzę się z nim najzupełniej, jestem gotów mu z całych sił pomagać zawsze, ale nie dzisiaj.

Dlaczego?

Nie wiem, ale ja muszę widzieć ten Kołobrzeg.

Wyszedłam z kawiarni i wracam do domu. Po drodze spotykam kilka dorożek, jadących z walizkami na dworzec. Coś mi w duszy zadrgało. Jakiś głos mi szeptał: jedź!

Tak! jadę, jutro rano wyjeżdżam do Kołobrzegu.

Kołobrzeg, środa.

Doprawdy nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem. To śmieszne, co mi myślisz... że... ja jestem naprawdę w Lili zakochany. Ale, jeśli mię tu zobaczą, tak z pewnością pomyślą. Trzeba się ukrywać. Prawda, że miałam chwile słabości do niej,

ale żeby się kochać... mówiłam jej to wprawdzie, ale to wszystko nerwy...

Te nerwy...

Przecież i ona mi to samo mówiła, a teraz z pewnością sama się śmieje z tych sentymentalnych wynurzeń. Piszę te słowa, ale bez przekonania — co więcej, ta myśl sprawia mi przykrość.

Taka już ludzka słaba, egoistyczna natura.

Samemu można zapomnieć, nawet śmiać się z minionych chwil, ale przyjemnie jest być pewnym, że „ona“ tych chwil nie zapominała. Miło jest być kochanym i wiedzieć o tem, a udawać, że się tego nie zauważa i nie dba o to.

Znalazłam maleńki pokój przy uliczce o dziwnie brzmiącej nazwie Hucke. Nie wiem, kto to mógł być. Okno wychodzi wprost na morze i to mi sprawia ogromną przyjemność. Mogę, nie wychodząc z domu, patrzeć na to morze, kłębiące się i wyjące potwornymi głosami, to znowu lekko, poważnie szumiące. Mogę skakać wzrokiem po pieniających się, ogromnych bałwanach, lub ślizgać się po gładkiej, jak jedna bez końca tafla lodu, powierzchni wody.

Mam zamiar kryć się niby przed ludźmi, a coś pcha mię między nich.

Idę dziś na koncert.

Środa.

Dziś rankiem, wabiony śliczną pogodą i cichym szmerem granatowego morza, lekko promieniami słońca złoczonego, wyszedłem na przechadzkę. Morze z mego okna śliczne, u brzegu wydało się czarnym. Lekki wietrzyk igrał łagodnie z szklistą morza powłoką, to tu, to tam, maleńkie powodując fale i lekki szmer.

Ten szmer cichutki, jakby miłośnie szepczący, kołysał mię, myśli moje unosząc w dal... dal...

Niebo czystym błękitem zastane, ku widnokręgowi ciemniało, z powierzchnią się zlewając morza. W nieuchwytniej dali jakiś biały punkcik zamajaczył, jak motyl. Jął się z chwili na chwilę powiększać i wnet łódź białym się zarysowała żaglem. Za nią druga i trzecia, jak rój białego ptactwa. A melancholijny wietrzyk maleńkie fale pędził w dal... jedne za drugą, jedne za drugą.

Szedłem skalistym brzegiem, z kamienia na kamień przeskakując, a fale lekko brzeg muskały i, cofając się, zostawiały miliony maleńkich muszelek.

Rozbawiony, droczyłem się z falami, goniąc je, gdy się cofały, a uciekając, gdy szybko ku brzegom sunęły. Tak, wolno posuwając się, zaszedłem do jednego z uroczych zakątków zdala od Kołobrzegu. Naturalny park dochodził tu do samego morza i kończył się skalistym, stromym brzegiem. Na jednym z większym gładów usiadłszy, bawiłem się widokiem igrających maleńkich rybek.

Słońce świeciło całą potęgą swego blasku.

U brzegu, między kamieniami na dnie, widać było najmniejszą trawkę. Maleńkie stworzonka igrały całymi chmarami, zwracając się to tu, to tam, jakby jakie pulki wykonujące pewne ruchy na daną w pewnej chwili komendę. Chwilami ginęły gdzieś między głazami i zielenią traw przybrzeżnych, aby za chwilę w jeszcze większej okazać się masie.

Wszystko wokół kipiało od życia i radości.

Lekki do tej pory wietrzyk jął się wzmacniać, marszcząc szklistą morza powłokę. W pewnej chwili zerwał się gwałtownie i jął burzyć harmonię ciszy swem ponurem, świszczącym wyciem i gwałtowniejszym szumem rozkołysanych fal.

W tej chwili dał się słyszeć lekki okrzyk na pół śmiejący, na pół rozpaczliwy, a w tejże chwili do nóg moich upadł panamski kapelusz kobiecy. Chwyciłem staczający się do wody kapelusz i zaraz ruszyłem na poszukiwanie właścicielki.

Nie wiem czemu, ale me serce dziwnie przyspieszyło tętno. Uczułem na całym ciele przejmujące mię zimno, twarz mi gorzała. Myśl, jak błyskawica, przemknęła mi przez mózg.

To ona! Liluchna... ona... ona...

Lili! Liluś!... szeptałem pieszczotliwie, drapiąc się na wysoki brzeg. W chwilę potem spostrzegłem ją. Tak, to ona była. Zdało mi się w pierwszej chwili, że mi serce pierś rozsądzi, że zaczęć płakać ze wzruszenia i radości. Och, gdybym mógł i śmiać, skoczyłbym był do niej w tej chwili i chwycił w pół, porwał w ramiona, jak dziecię drogie, kochane... uciekłbym z mym skarbem gdzieś w ciszę... w dal. Uciekłbym tam, gdzieby nie doszło życia echo, gdzie słyhać by było tylko serc naszych przyspieszone bicie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)